

Lucy Maud Montgomery

*Alpejska
ścieżka*

Historia mojej kariery



Lucy Maud Montgomery

Alpejska ścieżka

Historia mojej kariery

2023

© Lucy Maud Montgomery, 2023
© Magda Bitner, tłumaczenie, 2023

Książka powstała w inteligentnym systemie wydawniczym Ridero

Spis treści

I	5
---------	---

I

Kiedy redaktor „Everywoman’s World” poprosił mnie o spisanie historii mojej kariery, uśmiechnęłam się z lekką nutką niedowierzania. Moja kariera? Czy ja zrobiłam jakąś karierę? Czy kariera nie jest – a przynajmniej nie powinna być – czymś wspaniałym, cudownym, spektakularnym albo chociaż różnorodnym i ekscytującym? Czy można nazwać moją długą wędrówkę na szczyt, która trwała wiele spokojnych, wręcz monotonicznych lat, karierą? Nigdy nie przyszło mi to do głowy. W pierwszej chwili nie wydawało mi się, żebym miała zbyt wiele do powiedzenia o tych długich i żmudnych zmaganiach. Prośbę o opowiadanie o czymś, o czym niewiele miałam do powiedzenia, uznałam więc początkowo za kaprys wspomnianego redaktora. Jednak w ciągu tych długich lat wyrobiłam sobie nawyk dostosowywania się do kaprysów redaktorów do tego stopnia, że do dziś nie mogę się od tego uwolnić. Opowiem więc z radością moją skromną historię. Nawet jeśli moja opowieść do niczego więcej się nie przyda, to może chociaż posłuży jako zachęta dla innych, którzy zmagają się z trudnościami na tej samej drodze do sukcesu, którą i ja kiedyś podążałam.

Wiele lat temu, kiedy byłam jeszcze dzieckiem, wycięłam z pewnego czasopisma fragment wiersza zatytułowanego

Do goryczki orzężonej i przykleiłam go w rogu teczki, w której trzymałam listy i wypracowania szkolne. Za każdym razem, gdy otwierałam teczkę, czytałam te kilka wersów; to była myśl przewodnia dla moich celów i ambicji:

Więc szepcz, kwiecie, w twym śnie,
Jak mogę wspiąć się w górę
Alpejską ścieżką, tak trudną, tak stromą,
Która prowadzi na wyżyny wzniosłe;
Jak mogę osiągnąć ten daleki cel
Prawdziwej i zaszczytnej sławy,
I zapisać na jej błyszczącym zwoju
skromne imię kobiety.

To zaiste „trudna i stroma” ścieżka; i jeśli jakiegokolwiek słowo, które mogę napisać, pomoże innemu pielgrzymowi lub zachęci go do jej pokonania, to z radością i ochotą je napiszę.

Urodziłam się w małej wiosce Clifton na Wyspie Księcia Edwarda. Stara Wyspa Księcia Edwarda to dobre miejsce, aby się urodzić i spędzić tam dzieciństwo. Nie mogę sobie wyobrazić lepszego. My, mieszkańcy Wyspy Księcia Edwarda, jesteśmy bardzo lojalni. W głębi duszy wierzymy, że nie ma drugiego takiego miejsca, jak ten mały kawałek lądu, który dał nam początek. Możemy podejrzewać, że nasza mała ojczyzna nie jest idealna, tak jak żadne inne miejsce na tej planecie, ale nigdy się do tego nie przyznamy. I będziemy się wściekać na każdego, kto o tym wspomni! Jedynym sposobem, aby przekonać mieszkańca Wyspy Księcia Edwarda do powiedzenia czegokolwiek niepochlebnego na temat jego ukochanej prowincji, jest wychwalanie

jej w ekstrawagancki sposób. Wówczas, aby uchronić się przed gniewem bogów i w ramach przyzwoitości ukryć rozpierającą dumę, być może uda się go nakłonić do stwierdzenia, że wyspa ma jedną lub dwie wady – zwykle plamy na Słońcu. Rozmówca nie może jednak popełnić niewybaczalnego błędu i się z nim zgodzić!

Wyspa Księcia Edwarda jest jednak naprawdę piękną prowincją – wierzę, że najpiękniejszą w całej Ameryce. Gdzie indziej pewnie można znaleźć bardziej wyszukane krajobrazy i wspanialsze scenerie, ale jej niczym niezmacony i przepelniony spokojem wdzięk sprawia, że jest niedościgniona. „Otoczona niezmienną taflą morza”¹, unosi się na falach błękitnej zatoki, jest zielonym zaciszem i „oazą starożytnego spokoju”².

Swoje piękno wyspa zawdzięcza żywym i kontrastowym kolorom: bogatej czerwieni krętych dróg, olśniewającemu szmaragdowi wyżyn i łąk oraz iskrzącemu się szafirowi otaczającego ją morza. To właśnie morze tworzy tożsamość Wyspy Księcia Edwarda w znacznie szerszym znaczeniu niż tylko geograficzne. Na wyspie nie można uciec od morza. Poza kilkoma miejscami w głębi lądu widać je zewsząd, choćby tylko przez małą szczelinę między odległymi wzgórzami lub jako turkusową poświatę nad ciemnymi koronami świerków otaczających ujście rzeki. Wielka jest nasza miłość do morza; jego posmak wchodzi nam w krew, a syreni śpiew rozbrzmiewa zawsze w naszych

¹ Autorka cytuje fragment wiersza *To the Queen* Alfreda Tennysona z 1851 roku.

² Autorka cytuje fragment wiersza *The Palace of Art* Alfreda Tennysona z 1842 roku.

uszach. Dlatego nawet jeśli wędrujemy po dalekich krainach, szmer fal zawsze przywołuje nas do ojczyzny. Za niewiele rzeczy jestem bardziej wdzięczna niż za to, że urodziłam się i wychowałam nad błękitną Zatoką Świętego Wawrzyńca.

Urok Wyspy Księcia Edwarda nie sprowadza się jednak do kategorii lądu czy morza. Jest zbyt nieuchwytny, zbyt subtelny. Czasami wydawało mi się, że to właśnie surowość krajobrazu wyspy nadaje jej szczególnego uroku. A skąd bierze się ta surowość? Czy jej źródło jest w ciemnych plamach świerków i jodeł? Czy w przeblaskach morza i rzeki? W ożywczym posmaku słonego powietrza? A może sięga jeszcze głębiej, do samej duszy ziemi? Aby zrozumieć osobowość wyspy, trzeba żyć na tej ziemi, towarzyszyć jej i czerpać z niej pokarm dla ciała i ducha; tylko w ten sposób można naprawdę ją poznać i zostać przez nią poznanym.

Moim ojcem był Hugh John Montgomery, a matką Clara Woolner Macneill. Mam więc szkockie pochodzenie z domieszką angielskiej krwi od kilku dziadków i pradziadków. Poznałam tradycje obu stron mojej rodziny, a jako dziecko słuchałam z zachwytem, gdy starsi snuli opowieści zimą przy kominku. Romantyzm mam więc chyba we krwi. Byłam pod wrażeniem przygód, które powiodły moich przodków na zachód ze Starego Lądu – ziemi zawsze nazywanej domem przez mężczyzn i kobiety, których rodzice urodzili się i wychowali w Kanadzie.

Hugh Montgomery przybył do Kanady ze Szkocji. Płynął statkiem zmierzającym do Quebecu, ale ostatecznie zdecydowały los i wola kobiety. Jego żona przez całą drogę przez Atlantyk cierpiała na wyjątkowo dokuczliwą chorobę morską, a podróż nie trwała wtedy pięciu dni. U północnych wybrzeży Wyspy

Księcia Edwarda, wówczas dzikiej, zalesionej krainy z nielicznymi osadami, kapitan przybił do brzegu, aby uzupełnić zapasy wody. Wysłał na łódź łódź i powiedział biednej pani Montgomery, że może do niej wsiąść, żeby choć na chwilę odpocząć od dolegliwości. Pani Montgomery do niej wsiadła, a kiedy poczuła pod stopami błogosławiony suchy łódź, powiedziała mężowi, że zamierza tu zostać. Nigdy więcej nie postawi już stopy na żadnym statku. Protesty, błagania i argumenty na nic się nie zdały. Biedaczka postanowiła zostać, a jej mąż musiał zostać z nią. W ten sposób Montgomery'owie osiedlili się na Wyspie Księcia Edwarda.

Ich syn Donald, mój pradziadek, był bohaterem innego romansu z tamtych czasów. Wykorzystałam tę opowieść w mojej książce *Historynka*. Nancy i Betty Sherman z opowiadanej tam historii to Nancy i Betsy Penman, córki lojalisty, który przybył ze Stanów pod koniec amerykańskiej wojny o niepodległość. George Penman był skarbnikiem w brytyjskiej armii. Utraciwszy cały swój majątek, został z niczym, ale uroda dziewcząt Penmanów, zwłaszcza Nancy, była tak wielka, że nie brakowało im zalotników z dalekich i bliskich stron. Donald Fraser z *Historynki* to Donald Montgomery, a Neil Campbell to David Murray z Bedeque. Jedynym upiększeniem, na jakie sobie pozwoliłam, opowiadając tę historię, było wyposażanie Donalda w konia i porządne sianie. W rzeczywistości miał tylko jeszcze nie całkiem ujeżdżonego woła zaprzęzonego do starych, prostych drewnianych sań i to właśnie takim romantycznym ekwipażem wyruszył do Richmond Bay, aby oświadczyć się Nancy!

Mój dziadek, senator Montgomery, był synem Donalda i Nancy, a swoją dostojną prezencję i przystojną twarz odzie-

dziczył po matce. Ożenił się ze swoją kuzynką w pierwszej linii Annie Murray z Bedeque, córką Davida i Betsy. Tak więc Nancy i Betsy były obie moimi prababkami. Gdyby Betsy żyła dzisiaj, nie mam wątpliwości, że byłaby żarliwą sufrażystką. Najbardziej nowoczesna feministka nie mogłaby skuteczniej odrzucić starych konwenansów, niż zrobiła to ona, gdy oświadczyła się Davidowi. Warto tu nadmienić, że podobno ona i David byli najszcześniejszą parą na świecie.

To właśnie po rodzinie mojej matki – Macneillach – odziedziczyłam swój talent pisarski i upodobania literackie. John Macneill przybył na Wyspę Księcia Edwarda w 1775 roku. Jego rodzina pochodziła z Argyleshire. Macneillowie byli zwolennikami nieszczęsnych Stuartów. To właśnie dlatego młody John uznał, że przyda mu się zmiana klimatu. Hector Macneill, pomniejszy szkocki poeta, był jego kuzynem. To autor kilku pięknych i znanych tekstów, są wśród nich *Saw ye my wee thing, saw ye my ain thing, I lo'e ne'er a laddie but one* i *Come under my plaidie* – ten ostatni jest często błędnie przypisywany Burnsowi.

John Macneill osiadł na północnym brzegu, na farmie w Cavendish i miał rodzinę składającą się z dwanaściorga dzieci, z których najstarszym był William Macneill, mój pradziadek, powszechnie znany jako Stary Mówca Macneill. Był on bardzo mądrym człowiekiem, dobrze wykształconym jak na tamte czasy i mającym duże wpływy w lokalnej polityce. Ożenił się z Elізą Townsend, której ojcem był kapitan John Townsend z brytyjskiej marynarki wojennej. Jerzy III nadał jego ojcu, Jamesowi Townsendowi, ziemię na Wyspie Księcia Edwarda, którą ten nazwał Park Corner po starej rodzinnej posiadłości w Anglii. Przeniósł się tam i przywiózł ze sobą żonę, która jednak tęskni-

ła za domem i się buntowała. Przez wiele tygodni po przyjeździe nie chciała zdjąć czepka. Chodziła w nim po domu i domagała się, aby zabrano ją z powrotem do kraju. My, dzieci, które słyszałyśmy tę opowieść, zawsze się zastanawialiśmy, czy zdejmowała go chociaż na noc i zakładała rano, czy też w nim spała. Ale powrót nie wchodził w grę, więc w końcu zdjęła czepkę i pogodziła się z losem. Teraz śpi spokojnie na małym, starym, rodzinnym cmentarzu nad brzegiem Jeziora Lśniących Wód – innymi słowy, Campbell's Pond w Park Corner. W miejscu, w którym spoczywają ona i jej mąż, leży stara płyta z czerwonego piaskowca, a na niej wyryte jest to porośnięte mchem epitafium – jedno z tych epitafiów typowych dla pokolenia, które miało czas na ich rzeźbienie i czytanie:

Ku pamięci Jamesa Townsenda z Park Corner, Wyspa Księcia Edwarda, a także Elizabeth, jego żony. Wyemigrowali oni z Anglii na tę wyspę, A.D. 1775, z dwoma synami i trzema córkami, tj. Johnem, Jamesem, Elizą, Rachel i Mary. Ich syn John zmarł na Antigui za życia swoich rodziców. Jego strapiona matka podążyła za nim w stronę wieczności z cierpliwą rezygnacją siedemnastego dnia kwietnia 1795 roku, w 69. roku życia. A jej pogrążony w smutku mąż odszedł z tego świata 25 dnia grudnia 1806 roku, w 87. roku życia.

Ciekawe, czy tęsknota wciąż dręczy pogrążoną od ponad stu lat w wiecznym śnie Elizabeth Townsend.

William i Eliza Macneillowie mieli liczną rodzinę, której wszyscy członkowie odznaczyli się wybitnymi zdolnościami intelektualnymi. W tamtych surowych czasach ich edukacja ogra-

niczała się jedynie do ubogich, sporadycznych zajęć w szkole rejonowej, ale gdyby okoliczności były łaskawsze, niektórzy z nich mogliby daleko zajść. Mój dziadek, Aleksander Macneill, był człowiekiem o dobrze wyrobionych gustach literackich, a do tego wprawnym w pisaniu prozy. Mój prapradziadek, William Macneill, potrafił pisać doskonałe satyry, ale to jego starszy brat, James Macneill, był urodzonym poetą. Skomponował setki wierszy, które czasem recytował najbliższym. Nigdy nie zostały spisane i o ile wiem, nie zachował się ani jeden. Słyszałam jednak, jak mój dziadek powtarzał wiele z nich i była to prawdziwa poezja, większość miała charakter satyryczny lub prześmiewczy. Były dowcipne i celne, robiły wrażenie. Wuj James miał opinię tego małomównego i cieszącego się złą sławą Burnsa. Okoliczności zmusiły go do spędzenia życia na farmie w odległej części Wyspy Księcia Edwarda. Jestem pewna, że gdyby miał lepszy dostęp do edukacji, tak jak współcześni uczniowie, nie byłby ani małomówny, ani nielubiany.

Ciotka Mary Lawson, której zadedykowałam *Historynkę*, była kolejną córką Williama i Elizy Macneillów. Żadna opowieść o mojej „karierze” nie byłaby kompletna bez hołdu dla jej osoby, gdyż to ona w dużej mierze ukształtowała mnie w dzieciństwie. Była naprawdę najwspanialszą kobietą, jaką kiedykolwiek znałam, i to pod wieloma względami. Nigdy nie dane jej było odebrać odpowiedniej edukacji, ale cechowała ją wrodzona siła umysłu, przenikliwa inteligencja i niezwykła pamięć, w której zachowała do dnia śmierci wszystko, co kiedykolwiek usłyszała, przeczytała lub zobaczyła. Była błyskotliwą rozmówczynią. Słuchało się jej z wielką przyjemnością, gdy zaczynała opowiadać historie i wspominać swoją młodość, potrafiła przywołać z pa-

mięci wszystkie poczynania i powiedzenia ludzi z tamtych czasów. Byłyśmy przyjaciółkami, ciotka Mary i ja, chociaż kiedy ona miała siedemdziesiąt lat, ja byłam jeszcze nastolatką. Nie mogę żadnymi słowami spłacić długu, jaki mam wobec Mary Lawson.

Kiedy miałam dwadzieścia jeden miesięcy, moja matka zmarła w starym domu w Cavendish po długiej chorobie. Pamiętam wyraźnie, że widziałam ją w trumnie — to moje najwcześniejsze wspomnienie. Mój ojciec stał obok niej, trzymając mnie w ramionach. Miałam na sobie małą białą sukienkę z haftowanego muślinu, a ojciec płakał. W pokoju siedziały też kobiety, pamiętam dwie przed sobą na sofie. Szeptaly coś do siebie i patrzyły z politowaniem na ojca i na mnie. Okno za nimi było otwarte. Wiły się po nim zielone pędy winorośli, a ich cienie tańczyły po podłodze w kwadracie utworzonym przez promienie słońca.

Spojrzałam w dół na martwą twarz matki. Wciąż była uroczą, choć wyglądała na zmęczoną i wyniszczoną miesiącami cierpienia. Moja matka była piękna, a śmierć, tak okrutna we wszystkim innym, oszczędziła jej delikatne rysy twarzy, długie jedwabne rzęsy muskające zapadnięte policzki i gładkie pukle złotobrązowych włosów.

Nie czułam żadnego smutku, bo nie wiedziałam, co to wszystko znaczy. Byłam tylko zaniepokojona z niejasnej przyczyny. Dlaczego matka leżała tak nieruchomo? I dlaczego ojciec płakał? Sięgnęłam w dół i położyłam moją dziecięcą rączkę na policzku matki. Do dziś czuję chłód tego dotyku. Ktoś w pokoju zaszlochał i powiedział: „Biedne dziecko”. Przestraszyła mnie zimna twarz matki, odwróciłam się i objęłam ramiona-

mi szyję ojca, szukając pocieszenia, a on mnie pocałował. Uspokojona, spojrzałam ponownie w dół na słodką, spokojną twarz, a on mnie stamtąd zabrał. To jedno cenne wspomnienie jest wszystkim, co mi zostało po mojej młodej matce, która spoczywa na starym cmentarzu w Cavendish, ukołysana na zawsze przez szmer morza.

Zostałam wychowana przez moich dziadków w starej zagrodzie Macneillów w Cavendish. Cavendish to osada rolnicza na północnym brzegu Wyspy Księcia Edwarda. Znajduje się jednaście mil od linii kolejowej i dwadzieścia cztery mile od najbliższego miasta. Została założona w 1700 roku przez trzy szkockie klany: Macneillów, Simpsonów i Clarków. Rodziny mieszały się ze sobą do tego stopnia, że trzeba było urodzić się lub wychować w Cavendish, aby wiedzieć, kogo można bezpiecznie krytykować. Słyszałam, jak ciocia Mary Lawson kiedyś naiwnie przyznała, że „Macneillowie i Simpsonowie zawsze uważali się za trochę lepszych od zwykłych ludzi”. Było takie lokalne, raczej złośliwe powiedzenie o naszych klanach, które zawsze rzucały osoby z zewnątrz: „Od zarozumiałości Simpsonów, dumy Macneillów i próżności Clarków wybaw nas, dobry Boże”. Jakikolwiek były jednak ich wady, wszystkie trzy rodziny trzymały się razem i były ludem lojalnym, prawym i bogobożnym, który odziedziczył po przodkach wiarę, prostotę i aspiracje.

Dzieciństwo i lata nastoletnie spędziłam na staroświeckiej farmie w Cavendish, otoczonej sadami jabłoniowymi. Z pierwszych sześciu lat mojego życia mam tylko mgliste wspomnienia. Czasem jednak jakiś obraz wyróżnia się w pamięci żywymi barwami, tak jak cudowna chwila, kiedy, jak naiwnie wierzyłam, odkryłam dokładną lokalizację nieba.

Pewnej niedzieli, nie mogłam mieć wtedy więcej niż czterech lat, byłam w starym kościele w Clifton z ciocią Emily. Usłyszałam, jak pastor mówił coś o niebie – tym dziwnym, tajemniczym miejscu, o którym miałam jedynie mgliste wyobrażenie, że „tam poszła mama”.

„Gdzie jest niebo?” – szepnęłam do cioci Emily, choć dobrze wiedziałam, że szeptanie w kościele jest niewybaczalnym grzechem. Ciocia Emily nie zamierzała go popelnąć. W milczeniu, z powagą wskazała w górę. Jak przystało na dziecko, zinterpretowałam jej gest dosłownie i przyjąłam za pewnik, że niebo znajduje się w tej części kościoła w Clifton, gdzieś ponad sufitem. W suficie był mały kwadratowy otwór. Dlaczego nie mogliśmy przez niego wejść i zobaczyć matki? To była dla mnie wielka zagadka. Postanowiłam, że kiedy podrosnę, pójdę do Clifton i znajdę jakiś sposób, aby dostać się do nieba i ją znaleźć. Ta wiara i nadzieja była dla mnie wielką, choć skrytą pociechą przez kilka lat. Niebo nie było dalekim, nieosiągalnym miejscem – „jakimś olśniewającym, ale odległym brzegiem”. Nie, nie! Było zaledwie dziesięć mil stąd, na strychu kościoła w Clifton! Bardzo, bardzo powoli i z pewnym smutkiem porzuciłam z czasem to przekonanie.

Hood napisał w swoim czarującym wierszu *O pamiętam!*, że jest dalej od nieba niż wtedy, gdy był chłopcem. Mnie również świat wydał się zimniejszym, bardziej samotnym miejscem, kiedy wiek i doświadczenie w końcu wymusiły na mojej niechętnej temu siedmioletniej świadomości zwątpienie i przyznanie, że niebo nie jest tak blisko mnie, jak marzyłam. Może nawet było bliżej, „bliżej niż oddychanie, bliżej niż ręce czy stopy”¹, ale wyobrażenia z dzieciństwa są z konieczności

bardziej konkretne. Kiedy już zaakceptowałam fakt, że bramy z pereł i ulice ze złota nie znajdują się na strychu kościoła w Clifton, poczułam się tak, jakby równie dobrze mogły leżeć za najdalszą gwiazdą.

Wiele z tych wczesnych wspomnień wiąże się z wizytami na farmie dziadka Montgomery'ego w Park Corner. On i jego rodzina mieszkali wtedy w starym domu, najbardziej osobliwym i rozkosznym miejscu, jakie pamiętam, pełnym szafek i zakamarków oraz małych klatek schodowych w zaskakujących miejscach. To właśnie tam, gdy miałam około pięciu lat, przeszłam jedyną poważną chorobę w moim życiu: tyfus.

W noc przed zachorowaniem siedziałam w kuchni ze służbą, czując się tak dobrze, jak zwykle, „czujna i pełna wigoru”, jak mawiał stary kucharz. Siedziałam przed piecem, a kucharka rozgarniała ogień długim, prostym pogrzebaczem – takim, jakiego zwykle się w tym celu używa. Położyła go na palenisku, a ja szybko go złapałam, ponieważ sama chciałam sobie trochę pogrzebać w palenisku. Bardzo lubiłam to zajęcie. Uwielbiałam patrzeć, jak czerwony żar spada na czarny popiół.

Niestety, podniosłam pogrzebacz za zły koniec! W wyniku tego okropnie poparzyłam rękę. To była moja inicjacja, pierwsze spotkanie z bólem fizycznym, a przynajmniej pierwsze, którą pamiętam.

Bardzo cierpiałam i gorzko płakałam, ale czerpałam też sporą satysfakcję z zamieszania, które wywołałam. W tamtym momencie byłam wspaniale, satysfakcjonująco ważna. Dziadek

¹ Autorka cytuje fragment wiersza *The Higher Pantheism* Alfreda Tennysona z 1869 roku.

skarcił biedną, roztargnioną kucharkę. Ojciec błagał, żeby coś dla mnie zrobić, więc rozgorączkowani mieszkańcy domu biegali i szukali różnych środków zaradczych. W końcu wyplakałam się na tyle, aby położyć się spać z ręką zanurzoną do wysokości łokcia w wiadrze z lodowatą wodą, bo tylko to przynosiło mi ulgę.

Następnego ranka obudziłam się z ogromnym bólem głowy, który nasilał się w miarę upływu czasu. Po kilku dniach lekarz orzekł, że mam tyfus. Nie wiem, jak długo chorowałam, ale kilka razy byłam już tak słaba, że nikt nie wierzył, że z tego wyjdę.

Na początku mojej choroby posłano po babcię Macneill. Byłam tak zachwycona jej widokiem, że z podniecenia aż niebezpiecznie skoczyła mi gorączka, więc kiedy wyszła, ojciec, chcąc mnie uspokoić, powiedział mi, że pojechała do domu. Chciał dobrze, ale wyszło dość niefortunnie. Uwierzyłam w to aż za bardzo, wręcz bezgranicznie. Kiedy babcia weszła ponownie do pokoju, byłam więc przekonana, że to nie ona. Nie! Ona pojechała do domu. W związku z tym tą kobietą musiała być pani Murphy, która często pracowała u dziadka, tak samo wysoka i szczupła jak babcia.

Nie lubiłam pani Murphy i stanowczo się sprzeciwiałam, żeby w ogóle miała się znaleźć w pobliżu mnie. Nic nie mogło mnie przekonać, że to babcia. Uznano to za delirium, ale nie sądzę, że to prawda. Byłam wtedy całkiem świadoma. To raczej utrwalone wrażenie, jakie wywarło na moim słabym umyśle to, co powiedział mi ojciec. Babcia pojechała do domu, rozumowałam, więc nie mogło jej tu być. Dlatego kobieta, która wyglądała jak ona, musi być kimś innym.

To złudzenie opuściło mnie, dopiero kiedy byłam już w stanie siadać. Pewnego wieczoru po prostu dotarło do mnie, że to naprawdę babcia. Byłam tak szczęśliwa, że nie chciałam opuścić jej ramion. Ciągłe głaskałam jej twarz i mówiłam w zdumieniu i zachwycie: „Jednak nie jesteś panią Murphy, jesteś babcią”.

W tamtych czasach chorzy na tyfus nie musieli przestrzegać tak ścisłej diety podczas rekonwalescencji jak obecnie. Pamiętam, że pewnego dnia, na długo przed tym, zanim byłam w stanie usiąść, i tylko krótki czas po tym, jak gorączka mnie opuściła, mój obiad składał się ze smażonych kielbasek: tłustych, aromatycznych, pikantnych domowych kielbasek, takich, jakich nie spotyka się w tych zdegenerowanych czasach. To był pierwszy dzień, kiedy czułam się głodna i jadłam z apetytem. Oczywiście, według powszechnie przyjętych zasad, te kielbaski powinny były mnie zabić, a tym samym zakończyć „karierę”, o której piszę. Tak się jednak nie stało. Takie rzeczy się zdarzają. Jestem pewna, że jedynie przeznaczenie uchroniło mnie przed konsekwencjami zjedzenia tych kielbasek.

Jeszcze dwa doświadczenia z następnego lata utkwily mi w pamięci, prawdopodobnie dlatego, że były tak bardzo i w oczywisty sposób gorzkie. Pewnego dnia usłyszałam, jak babcia czyta na głos artykuł w gazecie o tym, że koniec świata ma nastąpić w następną niedzielę. W tamtym czasie żywiłam absolutną i żalosną wiarę we wszystko, co zostało wydrukowane. Cokolwiek napisano w gazecie, musiało być prawdą. Z przykrością muszę stwierdzić, że straciłam tę wzruszającą ufność, a moje życie jest uboższe o liczne dreszcze zachwyty i grozy.

Od czasu, gdy usłyszałam tę niesamowitą przepowiednię, aż do końca dnia w niedzielę żyłam w agonii terroru i strachu. Dorośli śmiali się ze mnie i nie chcieli poważnie odpowiadać na moje pytania. Prawie tak samo bałam się wyśmiania, jak dnia sądu ostatecznego. Mimo to przez całą sobotę poprzedzającą tę fatalną niedzielę denerwowałam ciotkę Emily, pytając ją nieustannie, czy powinniśmy pójść do szkółki niedzielnej następnego popołudnia. Jej zapewnienie, że oczywiście tam pójdziemy, było dla mnie sporym pocieszeniem. Jeśli naprawdę spodziewała się, że zajęcia w szkółce niedzielnej się odbędą, to nie mogła wierzyć, że następnego dnia nastąpi koniec świata.

Z drugiej jednak strony przepowiednia została **wydrukowana**. Noc z soboty na niedzielę była torturą. O zaśnięciu nie było nawet mowy. W każdej chwili mogłam przecież usłyszeć trąby jerychońskie. Teraz się z tego śmieję, każdy by się śmiał, ale dla łatwowiernego dziecka było to okropne przeżycie i tak realne, jak każda inna psychiczna agonia związana z życiem pozagrobowym.

Ta niedziela dłużyła się jeszcze bardziej niż każda inna niedziela. A kiedy w końcu dobiegła końca i jej „ciemne, zachodzące słońce” schowało się za purpurową linią horyzontu nad zatoką, odetchnęłam z ulgą. Ten piękny słoneczny świat pełen zieleni i kwiatów nie spłonął, miał trwać jeszcze przez jakiś czas. Nigdy jednak nie zapomniałam tamtej potwornej niedzieli.

Wiele lat później wykorzystałam ten incydent do napisania rozdziału *Katastrofalna niedziela w Historynce*. Jednak dzieci ze starego sądu Kingów miały przynajmniej siebie nawzajem. Ja musiałam sama jedna „wygniatać je do kadzi”¹.

Drugie z zapamiętanych przeze mnie przeżyć było znacznie bardziej błahe. Martin Forbes z *Historynki* miał swój pierwotny wzór w starszym człowieku, który przyjechał kiedyś do mojego dziadka na tydzień. Oczywiście nie nazywał się Forbes. Był, jak sądzę, sympatycznym, szanowanym i poważanym starszym panem. Zasłużył sobie jednak na moją szczerą dziecięcą nienawiść, nazywając mnie Johnnym za każdym razem, gdy się do mnie odzywał.

Jakaż ja byłam wściekła! Wydawało mi się to najbardziej śmiertelną i niewybaczalną obrazą. Mój gniew niesamowicie go rozbawił i zachęcił do jeszcze bardziej uporczywego używania tego obraźliwego imienia. Mogłabym rozerwać tego człowieka na strzępy, gdybym miała tyle siły! Kiedy odjeżdżał, odmówiłam podania mu ręki na pożegnanie, na co on szyderczo się roześmiał i powiedział: „No cóż, nie będę już więcej nazywał cię Johnnym. Teraz będę cię nazywał Sammym”. Nie muszę wyjaśniać, że tylko dolał w ten sposób oliwy do ognia.

Jeszcze przez długie lata czułam gniew, kiedy tylko usłyszałam nazwisko tego człowieka. Pięć lat później, gdy miałam dziesięć lat, zapisałam w swoim pamiętniku: „Pan James Forbes nie żyje. Jest bratem okropnego człowieka z Summerside, który nazywał mnie Johnnym”.

Nigdy więcej nie widziałam biednego starego pana Forbesa, więc nigdy nie musiałam znosić upokorzenia związanego z nazywaniem mnie Sammym. On sam już nie żyje i zapewne fakt, że nazywał mnie Johnnym, nie został nawet podniesiony przeciwko niemu na sądzie ostatecznym. Chociaż jednak mógł do-

¹ Autorka nawiązuje do apokaliptycznej wizji z Księgi Izajasza (Iz 63,3).

puścić się czynów, które należałoby uznać za o wiele większe grzechy, nie sądzę, żeby wyrządziły one komukolwiek nawet dziesiątą część krzywdy, jaką jego żarty zadały wrażliwemu umysłowi dziecka.

To doświadczenie nauczyło mnie przynajmniej jednego: nigdy nie dokuczam dzieciom. Gdybym nawet miała do tego skłonność, z pewnością powstrzymałoby mnie wciąż żywe wspomnienie tego, co wycierpiałam z rąk pana Forbesa. Dla niego była to tylko zabawa w dokuczanie „drażliwemu” dziecku, dla mnie męki jak po ugryzieniu jadowitego węża.

Lucy Maud Montgomery (1874–1942) – kanadyjska pisarka, autorka około dwudziestu powieści, z których najbardziej znaną jest „Ania z Zielonego Wzgórza”.

Pierwsze polskie wydanie autobiografii Lucy Maud Montgomery, która ukazywała się w odcinkach na łamach kanadyjskiego czasopisma „Everywoman’s World” od czerwca do listopada 1917 roku. Autorka „Ani z Zielonego Wzgórza” własnymi słowami opowiada, jak długą drogę musiała przejść, zanim stała się jedną z najpoczytniejszych pisarek w historii.

Rideró

Wydaj książkę
profesjonalnie!